

Michał Gawroński DDNBAS

© ARCHIWUM WSCHODNIE

-Żeby mieć jakiś pogląd na tę sprawę, chciałem się zapytać ile Pan miał lat w momencie wybuchu wojny w 39 roku?

Miałem 32 lata.

-Gdzie Pan mieszkał?

Wtedy mieszkałem we Lwowie.

-Czym Pan się zajmował?

Zacząłem studia, ale niestety nie skończyłem. W trakcie studiów (byłem).

-A w jakim kierunku?

W kierunku prawniczym.

-Gdzie ta wojna Pana zastała? W jakim mieście? Czy we Lwowie?

Wojna zastała mnie w Przemyśle, bo wtedy tam byłem, gdyż moja żona pracowała jako nauczycielka w okręgu przemyskim i tam mnie wojna zastała.

-To znaczy 1-go września?

Może nie tak dokładnie. W zasadzie byłem powołany tajną mobilizacją, bo ćwiczenia rezerwy odbywałem w NKU w Przemyśle i byłem obznajomiony z tym wszystkim i zostałem powołany tajną mobilizacją.

-Ale kiedy?

W lipcu. Z końcem lipca byłem zmobilizowany. Zostałem przydzielony do 22 Paru to była artyleria lekka w Przemyśle na Bakuńczycach i już byliśmy na peryferiach Przemyśla, żeby zwolnić koszary na mobilizację. I już pierwszego września byłem na froncie- Krzeszowice, to jest koło Krakowa. To była dywizja generała Monda.

-Tak, słyszałem o takim.

I tam zajęliśmy pozycje, później posuwaliśmy się w kierunku na Olkusz, później w kierunku na Góry Świętokrzyskie. Tam byliśmy otoczeni. Dwukrotnie przebijaliśmy się przez linię frontu. Potem byliśmy w okolicach Ojcowa. Oczywiście byliśmy rozbici, potem się skoncentrowaliśmy. Ci, którzy uciekali do domu, czy gdzieś tam to nie brali udziału w walce a ja, niestety, brałem

udział do końca, dokąd się dało. Do domu wróciłem dopiero w listopadzie. Do Lwowa. Ze Lwowa cudem dosłownie przeszedłem czym się dało: furmanką, samochodem i przez San wpław... w listopadzie. Wziąłem jeszcze ze sobą kilku panów. Byli tacy przewodnicy, którzy brali za to złoto, pieniądze, ale nie wszyscy mieli. Nie zawsze się tam dostawali, były też problemy. Wreszcie ja zorganizowałem grupę: siedmiu czy dziewięciu.

-A w jakim stopniu pan odbywał służbę?

Byłem podchorążym.

-Ale do 44 roku nie miał pan powiedzmy takich przykrych przypadków?

Wtedy pan był we Lwowie czy w Przemyśle?

Pani mówi o którym roku?

-Już od 39 do 44 roku.

Tak jak mówiłem, wróciłem do domu w listopadzie 39 roku i koło Lublina, bo Lublin był wtedy bombardowany, przeszliśmy i skierowaliśmy się na Kowel. A z Kowla do Łucka i w Łucku dostaliśmy się w kleszcze dwóch armii, bo Niemcy podeszli aż tam a później się cofnęli. Tam ostatecznie złożyliśmy co trzeba było, niszczyliśmy, paliliśmy. Z Łucka z grupą kilkunastu "facetów" doszliśmy do Lwowa. Nie szliśmy ani szosą, ani torami kolejowymi ale bocznymi drogami. To też było bardzo niebezpieczne, bo tam były grupy "banderowców", które napadały, ~~do~~ ten szlak był znany. My więc nie szliśmy tym szlakiem, tylko jak się dało. Nawiasem mówiąc, z bronią doszedłem do Lwowa. I we Lwowie już byli sowieci i Lwów też już był wzięty w kleszcze ze wschodu i z zachodu. Tam już byli sowieci.

-Ale o Lwów były walki?

Kolosalne. Na własne oczy oglądałem te zniszczenia, te trupy. Spotkałem pana Szwejcera, to był lwowiak, znajomy mojego brata i on oprowadzał mnie i pokazywał te wszystkie przeszkody, które studenci i dzieci robiły. Tam nie było asfaltu i zrywano kostkę brukową i z niej robiono zapory czołgowe i płyty chodnikowe.

-To przeciw Niemcom?

Tak, przeciw Niemcom. I tam jeden Niemiec nie mógł się dostać do Lwowa.

Młodzież robiła butelki z benzyną - wszystko co żyło broniło Lwowa.

Dopiero jak zaczęło brakować żywności i jak sowieci podeszli ze wschodu, wtedy nie było wyjścia i Lwów musiał się poddać. Ja wtedy ze Lwowa, też różnym sposobem, dostałem się do Przemyśla i wtedy w Przemyślu przeszedłem San, żeby znaleźć się u siostry. Oczywiście wszystko nam przepadło po wschodniej stronie, cały dorobek we Lwowie. Wszystko, mimo, że żona uczyła po wschodniej stronie Sanu. Wszystko to zostawiła i wszystko to zniszczyli. Tak to wyglądało.

-To co pan opowiada to było w 39 roku. A jak było w 40-m?

W 40 roku to przez kilka miesięcy, chyba dwa, zatrzymałem się w Przemyślu. Od razu nawiązali ze mną kontakt, Podziemie, wtedy Związek Walki Zbrojnej. Wtedy już organizowaliśmy przerzuty podoficerów i oficerów na Węgry i do Rumunii. Jednak, jak to się mówi technicznie, sytuacja została spalona i dowództwo postanowiło, że trzeba się ukrywać. Ja nie miałem gdzie, więc udałem się w stronę Jarosławia, skąd pochodziła moja żona. Pochodziła ze wsi Habowice. I tam przeżyłem, tam się ulokowaliśmy. Nawiązałem kontakt z dworami. Znałem skądinąd tych panów. Tam był niejaki von Aleksander Dworski a drugi to Andrzej Wolski. I oni zaangażowali mnie do pracy. Byłem zgłoszony w ligenszawcie jako robotnik rolny, żeby mieć przykrycie, bo to była wioska mieszana i Ukraińcy tam napływali. Pracowałem dosłownie. Musiałem.

-Nas przede wszystkim interesuje, w którym momencie zetknął się pan z Rosjanami.

Może po kolei. Po dwóch tygodniach pobytu w Habowicach były już sygnały, że ja tu jestem. Zgłosili się do mnie panowie i ponownie złożyłem przysięgę i zaczęłem organizować oddziały-plutony. Miałem pewne dane do kogo można wpaść i werbować. Dogadywałem się z nimi, przyjmowałem przysięgę. Musiałem w związku z tym prowadzić tajną ewidencję. Musiałem także zdawać z tego władzy raporty. To był podokręg rzeszowski ~~XXXXXX~~ inspektorat Jarosław Armii Krajowej. Tam musiałem składać meldunki. Włączyłem się w ogóle w całą pracę. Brałem udział nawet w zrzutach samolotowych, które były w lasach Ruczyny niedaleko Przeworska (lasy były kolosalne). Robiło się też ćwiczenia z bronią zrzutową, trzeba było instruować tych nowych, bo przecież byli też członkowie, którzy jeszcze nie byli w wojsku i nie mieli o tym pojęcia. Trzeba było

ich odpowiednio ustawiać i trzeba było w pewnych akcjach brać udział: obstawiać, zabezpieczać delegatów, którzy przyjeżdżali z Krakowa, czy z Rzeszowa. Oczywiście kolportaż prasy, nasłuch radiowe.

-A kiedy pan nawiązał kontakt z Rosjanami?

Nie ja z nimi, tylko oni ze mną nawiązali kontakt. Bezpośrednio po wojnie, w 44 roku. Ja nie zgłosiłem się do II Armii, bo ona mi nie odpowiadała i w ogóle się nie zgłosiłem. W tym okręgu, gdzie ja mieszkalem był sztab Koniewa, był wywiad i była jakaś jednostka NKWD, która wszystkich śledziła i wyciągała od wszystkich kto co i zacz. W rezultacie nas tam wtedy poszło kilku czy kilkunastu.

-Jak to się stało?

Wpadli do domu. Powiedzieli mi: "wujciu, dom otoczony! Jaskółka nie wyleci!"

-Czy to byli Rosjanie?

Tak. Rosjanie, "przyjaciele". Wrzucili mnie na taki wóz i z karabinami wywieźli mnie do sąsiedniego miasteczka, które nazywało się Pruchnik.

-To było w listopadzie?

Tak. W Pruchniku przy cerkwi ruskiej była stodoła i oni adoptowali ją na więzienie. Zrobili przegrody z desek, żeby nie było bezpośredniego kontaktu. I w tej słomie leżeliśmy dwa albo trzy dni a później nas wywieźli.

-Tam było dużo osób?

Było kilkunastu (nazwisk nie pamiętam). Po kilku dniach załadowali nas na samochody i wywieźli do Rzeszowa. W Rzeszowie byliśmy w tym słynnym więzieniu, na tzw. zamku. Tam nas umieścili. Po trzydziestu w izbie. Izby były małe, było ich pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt. Jedynym zajęciem było to, że obowiązkowo każdy musiał czyścić bieliznę, czyli niszczyć insekty. Więzienie było pełne. Spaliśmy w ten sposób, że był jeden siennik na kilka osób. Spało się na ziemi tylko głowa była na sienniku.

-Co to za ludzie tam byli?

Obsługa więzienia to byli ludzie z UB.

-Ale kto był w więzieniu?

W więzieniu byli przeważnie akowcy.

-A ~~ż~~ Nie kryminaliści?

Nie. to byli akowcy.

-Według pana ilu więźniów mogło być wtedy w więzieniu?

Może było i kilka tysięcy,oczywiście w przybliżeniu,szacunkowo.

-Czy były jakieś badania,przesłuchania?

Tak.Przychodził jakiś ruski cywil,który mówił w ten sposób:"Hawroński, na pralianku!"Pralianka to było przesłuchanie.Były też inne przesłuchania moich kolegów.Np. pan Stanisław Kostka,ostatnio był profesorem w jarosławskiej Szkole Budowlanej,pochodził z okolic Jarosławia.Wtedy był bardzo młody i robił takie petardy i granaty ręczne własnego pomysłu.Jak on poszedł na takie przesłuchanie,to jak wracał to chodził tylko na palcach.Pytaliśmy się:co było?To mówił,że bili prętem żelaznym po piętach.A uderzenie w piętę powoduje wstrząs mózgu.Dosłownie.Tam byliśmy około dwóch miesięcy.A może powiem jak nas żywili!Niedaleko drzwi był kibel i tam wszyscy się załatwiali.Pożywienie było dwa razy na dobę.Jak to wyglądało:przychodzili do drzwi, walili pięścią w nie i jakiś drab wysypywał z kosza puste puszki po konserwach.Przeważnie tuż przy tym kiblu.Wszyscy się rzucali,ja przynajmniej nie, żeby zdobyć tę puszkę jak najszybciej.Jak dostał już puszkę,to podchodziło dwóch drabów i takim czerpakiem nalewało zupę.To była tylko wodzianka.Puszka nie miała żadnego uszka.Trzymało się więc tą puszkę a ten drab lał wrzątek po dłoniach i do puszki.I teraz trzeba było bardzo szybko wypijać tę zupę,bo czekali następni,gdyż nie było dla wszystkich puszek.Nawet nie było chleba.W puszkę można było wlać mniej niż litr tej wodzianki.I w ten sposób żywiliśmy się przez dwa miesiące.

-Czy chorowali?

Tak,ale nie było pomocy lekarskiej.Czasami wychodzili i więcej już nie wracali.

-Jak pan ocenia środowisko,w którym pan przebywał?Czy podobnie było w czasie okupacji niemieckiej?

Niewiele lepiej.Nie było żadnej higieny,insekty były wszędzie.Ja byłem dobrze urządzony,bo miałem buty saperki i nie kładłem się nigdy z nimi (więźniami) tylko leżałem na twardej ławce i insekty tak do mnie nie dochodziły.Będę się streszczał.Był Nowy Rok,pukanie,strzelanie.Stale nas kontrolowali,szukali,czy czegoś nie ma.Wreszcie przyszli "kupcy",jak to się

nazywa, czyli sowieckie NKWD i nasze władze, w polskich mundurach wydały nas sowietom. Sowietci w kożuszkach, mówili po rusku, przyjechali samochodami z blandekami.

-Kiedy to się wydarzyło?

W grudniu 45 roku. Załadowali nas na samochody. Był trzaskający mróz, a wszyscy byli byle jak ubrani, w lekkie ubranka, niektórzy nawet półbuciki mieli. Musieliśmy siadać jeden drugiemu między nogi, żeby jak najwięcej było miejsca. W tej pozycji jechaliśmy z Rzeszowa do Bakuńczyc. Do 22 Pułku Artylerii.

-Ile to mogło być kilometrów?

Około 70 kilometrów, ponad dwie godziny jazdy. Tam nas przywieźli i w ten mróz wszyscy musieli rozebrać się do naga. Kontrolowali wszystko, czy nie mamy np. żyłek, czy czegoś innego. Wszystko nam odebrali. Ubraliśmy się z powrotem w te zmarznęte rzeczy i do wagonów. Wagony były towarowe, końskie. W wagonie było nas osiemdziesiąt osób. Drzwi nie były zamknięte, ale była zostawiona szpara, żeby można było się załatwić. Ale jak się załatwiać to wszystko szło i tak do wagonu. Oczywiście drzwi były bardzo zadrutowane i w budce hamulcowej zawsze była straż. Jechaliśmy czternaście dni i czternaście nocy. Gdy nie było wolnego przejazdu i nas zatrzymywali to wtedy otwierali wagony i wołali: "wsio na prawo albo wio na lewo". Wszyscy wychodzili albo na lewo albo na prawo a oni kontrolowali cały wagon czy nie ma jakiejś szparki, czy nie ma zniszczonej deski, czy ktoś nie chce uciekać. Ponownie liczyli (bo oni ciągle liczyli), kazali przechodzić na drugą stronę albo wymyślali jeszcze inne rzeczy. Nasze pożywienie w czasie jazdy wyglądało tak, że rzucali jeden bochenek chleba na ośmiu. To był ruski chleb, miał ze 25 cm. długości. Był zamrznięty. Jak był świeży, to jak go się ścisnęło to wychodziła woda, był jak guma. Jak nam wrzucali to był zamrznięty, a przecież był na ośmiu i trzeba było się podzielić. Ale jak dzielić kiedy nie było noża, nie było żyłki a chleb zamrznięty na kość. Proszę sobie wyobrazić jakie dantejskie sceny się działy, aby uczciwie ten chleb podzielić. Jak ktoś chciał pić to oblizywał obłepienie okuć wagonu. Ja tego nie robiłem, bo to wszystko bakterie. I tak przyjechaliśmy do Starynowolska, to jest Donbas. Jeszcze w czasie jazdy działy się sceny dantejskie. Kilku

dwóch albo trzech zostało obłąkanych. Ja sam, w pewnych momentach kręciłem się w kółko. Człowiek był wyczerpany na skutek tego odżywiania, tej jazdy, tego zimna. Tam nie było mowy o spaniu. Ważne było jak usiąść.

Wagony otworzyli w Starynowolsku: "wychadit!" Ludzie zaczęli wychodzić, ale chwieją się na nogach. Wiatru nie było, śnieg nie padał. Był trzaskający mróz rzędu 20-30°C, aż dźwięczało w powietrzu. Oczywiście liczyli nas, bo to była ich mania. Padł rozkaz: "stawać w piątkę!" Trzeba było brać się pod rękę i tak zacząć marsz. Na skutek tego mrozu, wycieńczenia, że się tylko w tym wagonie siedziało jak wyszło się na powietrze to wydawało się, że te przewody oddechowe ktoś ciął, brakowało oddechu, brakowało sił. Niektórzy byli w lekkich ubraniach. Oni nie dali niczego. Ludzie się wywrecali, całe takie piątki padały. Droga też była byle jaka.

Na końcu szła niewielka kolumna złożona z pań.

Przyszła mi na myśl zsyłka carska Polaków

Przed samym wyruszeniem podeszła do nas eskorta z karabinami i powiedzieli: takie a takie syny (dosłownie powiedzieli: job waszu mać) gdyby nam pozwolili to wiedzielibyśmy co z wami zrobić! "Potem marsz, kilka kilometrów i do takiej stacji przejściowej. To był łagier, w którym mogło się pomieścić około tysiąca ludzi. Weszliśmy tam zmarznięci i zgłodzeni to przywitali nas tym, że dali nam gorącą zupę, zupę z kapusty. Wszyscy chętnie zjedli. Zaraz nas poukładali na narach. One były wkoło tej hali, tak ją nazwijmy. Nary były trzypiętrowe. Leżeliśmy na gołych deskach. I tak było przez trzy lata. Dopiero w ostatnim roku dali nam, jak oni nazywali, materace. Jak przyszła jakaś komisja z Moskwy to pytali czy otrzymaliśmy materace. Więc tak, ale materac to był siennik bez słomy i bez trocin, bo czasami dawali trociny. Leżało się więc na deskach.

Ja dostałem gorączki, może 39, może 40°C, usta spieczone, majaczenia. W tej hali było dosyć ciepło.

Na drugi dzień przyjechali nowi "kupcy", to znaczy kierownicy, czy jacyś przewodnicy poszczególnych kopalń i brali po 50-u, czy po 100-u, po 200-u ludzi, ilu im było potrzeba.

-To byli dyrektorzy kopalń. Czy to były osoby cywilne?

Tak, ale od razu przyszli z konwojem wojskowym NKWDzistów.

-Czy oni wiedzieli, że to są więźniowie?

Oczywiście, że wiedzieli.

-Ale czy wiedzieli, że to polityczni?

Tego to ja nie wiem. W każdym razie słowo: "POLACZKIE" to wszystko co najgorsze, to oznaczało.

Zostałem przydzielony do grupy trzystu i następnego dnia po paru kilometrach znaleźliśmy się we właściwej kopalni. Miejscowość nazywała się Uzłowaja. Umieścili nas w barakach. Tu już były łóżka, wprawdzie bez materaców. Były dwupiętrowe. Salki były małe: po pięć, po sześć, po osiem osób.

-Czy były koce?

Nie. Do końca mojego tam pobytu nie było kocy, ani materaców tylko siatka. W innych łagrach były deski. W czym kto chodził, tym później się nakrywał. Bielizna była czarniejsza niż podłoga. Ani razu nie zmieniali bielizny. Nie dawali kocy, ręczników. Nie było apteczki. Były jednak tak zwane sanczastie, gdy ktoś bardzo zachorował to się zgłaszał i mógł na tym sanczastie leżeć. Dawali mu aspirynę. Po dwóch, trzech dniach jak mu się nie polepszyło, wtedy z nim na hałdę i już był z nim koniec.

Wiele nas nie instruowali. Po dwóch dniach już zjeżdżaliśmy do kopalni na dół. To była kopalnia węgla. Była taka wielka sala, gdzie odbywały się narady produkcyjne, później zjeżdżaliśmy do kopalni. Jak wyglądał ten zjazd? Zjazd odbywał się windą kilkuosobową, która nie była kryta i po prostu lało się nam na głowy, bo wszystko było oblodzone. Woda wsiąkała w ten strój. Dawali nam lampki Wolfa (bo tak się nazywały lampki górnicze), tylko że nie było "stieklä" czyli szkła, nie było kamfiny i nie było knota. Dawali je nam symbolicznie. Potem na tak zwane "oczastki" a na "oczastkach" były tak zwane "zaboje" czyli miejsce pracy. Pierwszego dnia stwierdziliśmy, że pracujemy razem z Rosjanami: oficerami, podoficerami - tymi, którzy walczyli na fińskim froncie. Po zajęciu Karelii zostali wycofani a z Finlandią został zawarty pokój. Zostali oskarżeni o to, że źle walczyli z Finami i musieli przejść "priwierke" czyli proces oskarżenia i na razie zostali umieszczeni w kopalniach.

-To był 45 rok?

Tak to był 45 rok. Pracowali tam też wolni Rosjanie, którym podlegaliśmy, którzy byli kierownikami. Spotkaliśmy wielu ludzi, którzy nam współczuli i w niektórych przypadkach chcieli nam pomóc.

Obowiązywał handel wymienny, jeśli ktoś coś miał dobrego to dawał Ruskiemu. On to brał i za to przynosił cebule czy dwie, trzy marchewki. Po tych wszystkich tarapatach mieliśmy jeszcze takie ubrania, które miały dla ruskich wartość. Ja sam sprzedawałem płaszcz. Ktoś mi dał elegancki płaszcz kolejowy i z niego wracz, czyli lekarz zrobił sobie spodnie. Za to mogłem tydzień poleżeć na saneczach.

Jak wyglądała praca. Trzeba było przerzucić najmniej dwanaście ton węgla w czasie zmiany, ponieważ jeśli przerzuciło się mniej to dostawało się mniej chleba. W zasadzie chleba dawali po 500g a jeżeli nie zrobiło się normy to 300 albo i 200g - na dobę. Karmili nas dwa razy na dobę tym chlebem. Nie było dnia ani nocy, ponieważ kopalnia pracowała na trzy zmiany i raz się chodziło na pierwszą, raz na drugą i raz na trzecią.

-Dostawaliście łącznie 500g chleba na dobę. A na czym polegało karmienie? Wraca zmiana. Przede wszystkim na górę. Jak zmiana wychodziła to było około 300 ludzi z różnych odcinków, żeby się skoncentrowali wokół windy musiało upłynąć około pół godziny. Później po kilka osób wyjeżdżało windą na górę. Na górze trzeba było poczekać aż wszyscy wjadą windą, wtedy liczenie i marsz do łagrów; odległość około trzech, czterech kilometrów. Mroz był wtedy minus 20 -25°C a ubrania były przesiąknięte albo potem albo wodą z kopalni. Były bowiem kopalnie suche i mokre. W mokrych pompy niby pracowały ale nigdy nie nadążały wypompowywać wody. Trzeba było więc stać w wodzie po kolana albo i wyżej i pracować. Oprócz tego pot i czasami woda ciekła ze stropu. Czasami chcieli za dużo wybrać węgla i ten strop był za cienki wtedy sypał się piasek i lała się woda. Więc jak się wyszło na wierzch to ta mokra bielizna przymarzała, robił się lód i tak się szło.

Jak wyszło się na teren kopalni to powtarzali ⁴wnimania" czyli "uwaga" (powtarzali je, gdy się szło do kopalni i gdy się wracało): "szag w prawo, szag w lewo - budziem priwielac róże" - to znaczy: krok w prawo, krok w lewo to strzelamy. Później piątkami się ustawiajcie i marsz do łagru. Byli z kara-

Nasze łagry otoczone były potężnymi drutami, były też wieże strażnicze, na których strażnicy dzień i noc pilnowali.

-Jak w Oświęcimiu?

Zupełnie. Kontrolowali.

-A co dostawaliście do jedzenia?

Zaraz do tego dojdę. Jak wróciliśmy do łagru to do umywalki, ale chociaż te umywalki były to prawie nigdy a zwłaszcza jesienią i zimą nie było wody. Czasem dawali nam jakąś wodę z ziólkami to staraliśmy się jak najdłużej zatrzymać ją, bo do "stołowej" czyli stołówki trzeba było być wymy- tym a tymczasem brakowało wody. Trzymali tę wodę z ziólkami w ~~magazynie~~ ^{magazynie}, gdzieś pod łóżkiem i jak przyszliśmy to szybko brało się do ust, na rękę i się myło. I takie było mycie. Oczywiście nie zawsze, bo w lecie czasami woda była. Wtedy przechodziło się na "stołowej" czyli do stołówki. Stoły były długie, na kilkaset osób. Naczynia były zrobione z puszek po konserwach amerykańskich. Konserwy amerykańskie oni dostawali i jacyś tam blacharze cieli je i robili takie talerzyki, tak jak miseczki. Z tym talerzykiem podchodziło się do kucharza i on dawał najpierw zupę. Obok stał drugi i na druciku miał małe naczynie wielkości naparstka, którym nalewał olej. Zupa wyglądała w ten sposób, że jesienią zbierali z pól liście buraków ćwikłowych, pastewnych i cukrowych, były wpółzamarznięte. W łagrach były duże silosy, gorzej jak dla bydła, i w nich gromadzili te liście. Gdyby to była jesień i przed mrozem to te liście były przemarzłe i ostatecznie zrobiłby się rodzaj kiszonki. Ale to było robione podczas mrozów i te liście były zamarznięte. Później dwóch czy trzech w wiadro wyciągali je. Mieli widły, chodzili po tym w butach i zanosili do kuchni. Tam je gotowali. Zupę czasami polewali ~~olejem~~ ^{olejem} a zazwyczaj była rybka, która nazywała się flądra. To była bardzo kiepska rybka i w połączeniu z tymi liśćmi dawała bardzo nieprzyjemny zapach, to było nie do zjedzenia. Mówiło się wtedy, że dają nam "rabarbar" do jedzenia. Przeważnie ludzie robili tak (ale żeby straż nie widziała), że się odwracali i jedli chleb. I już, koniec. Zostawiali kawałek ~~chleba~~ ^{chleba}, bo to był rarytas. Dopiero wiosną, gdy liście nie nadawały się już do konsumpcji, bo po prostu śmierdziały przywożono w beczkach kapustę.

Gotowali tę kapustę, to była bardzo rzadka zupa, którą nazywali "szciet" i dawali albo z olejem, albo z rybką. Czasem robili zupę-rodzaj krochmalu: mąkę rozpuszczali nie tak bardzo gęsto i to była taka zupka. Niedługo zapanowała dystrofia i awitaminoza.

-Posiłki były dwa razy na dobę?

Tak. Czasem były "krupki" czyli kasza jęczmienna, proso ale to było tak rzadkie, że jak się spytałeś: "słuchaj, ile miałeś tego mglatego? Może z pół łyżki!" Reszta to była woda.

-Czy jadł pan kiedyś kartofla?

Były przypadki, że jadłem kartofla ale tylko w zupie.

-Ile mogło być tego kartofla? Pół, cały?

Tak ale zawsze w kawałku.

-A mięso czy było?

Nie, nigdy. Ani razu. Dosłownie.

Wycieńczenie było ogromne a wymagali niesamowitej pracy. Co się dzieje dalej: wchodzi się do łagru, do łóżka. Ja zostawiłem jeszcze moje buty-saperki, ktoś mi je skradł a proponowali, żebym sprzedał ruskiemu to bym miał kilka rubli a za to kilka pajdek chleba.

Jak wyglądał łagier. Dzień i noc się świeciło. Jak ktoś szedł na drugą zmianę to mógł się przespać ze dwie, trzy godziny. Później wpadali grupowi-ruscy

-dzwonek dzwonił, tzn. wstawać będziemy; robota. W tych łachach, w których się spało wychodziło się...

A na nogach co było?

Dawali nam buty, ale walonek nikt nie miał. Dawali nam buty, jak to wojskowe "komiśniaki" tak zwane. Nie chroniły one od zimna, bo one były z lichej skóry, nigdy nie były natłuszczone ani pastą smarowane. Jak były silne mrozy to one kurczyły się, przylegały do nogi i nogi odmrażały się, tak jakby boso się chodziło.

-A jak spanie wyglądało?..

Więc.. gorączka, człowiek zziębnięty, zmęczony, spocony, głodny. Pluskwy-to jak oni nazywali "kłapy"-niesamowite, trzeba było zabijać. One atakowały

nadgarstki i kark. Mimo, że się świeciło one chodziły i żarły nas. Więc ja miałem jakieś papiery... bo tam w zasadzie nie można było mieć, listów nie było, wogóle nic.. Przez trzy lata żadnego listu nie wysłałem i żadnego nie otrzymałem. Wogóle żona nie wiedziała gdzie ja jestem, i co się ze mną dzieje.

-Czy pan miał jakąś rozprawę sądową?

Żadnej rozprawy, tylko śledztwo. Kilka razy.

...Więc ja te pluskwy zabijałem papierkiem, a jeżeli nie miałem to palcem. Ale rano trzeba było zatrzeć ślady tych pluskiew, bo jakby przyszli NKWD-ziści to do karceru by zabrali. Nie wolno było się przyznawać, że pluskwy żarły nas. Jakby nawet jakaś komisja z Moskwy przyjechała i zapytała-"kłapy są?"- niechby ktoś się odważył powiedzieć, że są. Więc były pluskwy, potem wszy ubraniowe i wszy łonowe, oraz szczury. Plaga szczurów. A dlaczego te szczury?.. Zaraz powiem dlaczego były.

-więc chodziliśmy poza "szachtą", co 7-10 dni, już nie pamiętam, było tzw.

"wychodnoje"-dzień wolny. Brano nas wtedy do roboty w kołchozie lub w łagrze się robiło. Więc trzeba było czyścić podłogę, np. w stołówce. Były takie urządzenia-kawałek drąga z gumą. Jeden z więźniów polewał podłogę wodą a drugi czyścił tym urządzeniem. Coś z tą wodą trzeba było zrobić. Wybito więc kilkadziesiąt dziur w podłodze, i tą brudną wodę pod podłogę. Tam były kanały gdzie szczury mogły się gnieździć.

A nie można było tej wody na zewnątrz wylewać?

A gdzie? Nic podobnego. Próg był i jeszcze przedpokój, tak więc był to najprostrzy sposób, żeby ten brud zgarnąć pod podłogę. Raz, gdy miałem tak zwany "wychodnoj" to przyszedł taki naczelnik i powiedział:"taki a taki synu, będziesz dzisiaj czyli siewodnia skoblić poło czyli skłobać. Dał mi jakieś kawałki szkła i ja na kolanach musiałem skrobać tę podłogę, ale w tej swojej kajutce, w której mieszkałem. Jak to zrobiłem to machnął ręką:"jazda!" Wyszedłem na trzecią kondygnację czyli na potrójne nary, żeby odpocząć i popatrzyłem w dół - cała podłoga to były szczury, bo one chodziły też po tych narach i szły w górę. Jak ktoś miał kawałek chleba i chciał go zatrzymać na później to szczury od razu wyczuwały go i z tej nary skakały na ten chleb w wareczku i go zja-

-dały.

-ile lat pan tam był?

Byłem tam ^{trzy} pięć lat.

-W tym samym obozie?

Nie, byłem w kilku kopalniach.

-Cały czas w Donbasie?

Tak cały czas w Donbasie, w Riezdurańdońsku i w Stalinogorsku.

-Wszędzie było tak samo?

Wszędzie warunki były takie same. W końcowym okresie były takie priwierki-przeglądy. Szliśmy na drugą zmianę, mróz 20-30°C, to wołali nas na takie pole i tam staliśmy godzinę, dwie. Sprawdzali nasze numery,, ustawiali w czworobok, patrzyli się, jak coś im się podobało to zabierali. Ludzie prawie, że zamarzali.

Na początku, chyba po miesiącu uciekło trzech Polaków ale bardzo szybko złapano ich. Gdy wychodziliśmy z łagru to wszystkie zmiany w czworoboku prowadzili na teren, gdzie pokazywali tych "zbieżañców". Byli bici, głowa była nie do poznania; to była masa. Później siedzieli w karcelu a później gdzieś zniknęli, nie wiedzieliśmy nawet gdzie.

Oprócz insektów był świerzb.

-A czy była pomoc lekarska?

Był wracz, nawet nie lekarz i dwóch sanitariuszy i koniec.

-Czy dawali jakieś lekarstwa?

Aspiryna była. Nagminnie był "grzybek". Byli fryzjerzy, nazywali się polima-char, i oni wszystkich golili i powszechne było owrzodzenie twarzy, tzw. grzybek.

-Starsi więźniowie mieli protezy zębów. Rozumiem, że te protezy się psuły a nowych nie było. Jak oni mogli przeżyć bez protezy?

Nikt się tym nie martwił. Żył to żył. Widziałem nieraz jak byłem w latrynie, bo ona była nieosłonięta, tylko daszkiem nakryta, ludzi z bardzo dużą opuchliną. Niektórzy byli tak opuchnięci, że oczu nie było widać. Nie było mowy o opiece lekarskiej, o higienie, gdy było tylko wiadro wody. Chodziliśmy kilka kilometrów do "bani", to jest do łaźni, szło się po grudzie, w mróz.

Nie było ontagonizmów między klasami, tam były w ogóle antagonizmy. Tylko człowiek o wyrobionym charakterze, głębokiej osobowości był właśnie człowiekiem. Wszyscy inni nie byli ludźmi - mogli zabić za skóreczkę chleba. Ci, którzy załamywali się psychicznie nie dotrwali do końca, już tam zostali. Mocni psychicznie - przetrwali.

W dzień to było piekło. Byliśmy traktowani gorzej niż zwierzęta. Na wiosnę, jak zaczęli karmić nas białą kapustą (tak oni mówili: biała kapusta) to mówili do nas tak: "Polaczki takie a takie syny, my was karmimy białą kapustą a wy nie chcecie robotać!" To jest chyba bardzo charakterystyczne! Karmią białą kapustą i żądają takiej pracy!

- Kiedy i jak zwolniono pana?

Jakimi kryteriami kierowali się to jeden Pan Bóg wie! Jedne transporty szły do Polski po roku, inne po dwóch, po trzech. Ja trafiłem na ten trzeci rok, inni jeszcze zostali dłużej.

- Jak pan się dowiedział o tym, że będzie zwolniony?

Wciąż mówili, że "skoro, skoro pojedziem damoj", żeby jeszcze nas podbudować mówili, że "pierwszy front to jest Berlin a drugi front to jest szachta".

- Ale czy pan pamięta jak to było, gdy powiedzieli, że wraca pan do Polski? Powiedzieli w ostatniej chwili; przyszli i wyczytali, że ci jadą do domu, To były grupy pięćdziesięcioosobowe.

- W którym roku pan wyjechał?

W 47 roku.

Powiem jeszcze jak wyglądała praca w kopalni. Byłem takim, który dostarczał stemple, nazywał się "lesogon"; Byłem "nawalszczik" - nawalałem ten węgiel i byłem w grupie "krepitieli", to znaczy tych, którzy przy pomocy cieśli stawiali stemple. Przechodziłem prawie wszystkie hierarchie tej pracy. Mogę powiedzieć jak wyglądał "zabój" czyli odcinek pracy. Korytarzami szło się najczęściej po ciemku, ponieważ nie było oświetlenia. Przychodziło się na miejsce. W tym czasie stosowali już metodę wybuchową. Brygada "zapalszcików" borowała dziury w ścianach, pakowała ładunki (osiem, dziesięć czy piętnaście) a wszystkich ludzi usuwała do zapasowego zaboju. Jeden z "zapalszcików" liczył później czy były wszystkie wybuchy, gdy wszystkie wybuchły to

znaczyło, że można było iść tam bezpiecznie. A szło się na czworakach. Były dwa urządzenia mechaniczne: renta i este. Renta to był parciany pas poruszany przez motorek, na który rzucało się węgiel i on szedł korytarzami do wózków; później tymi wózkami na górę. Este to było takie koryto, w którym był łańcuch, do którego były przymocowane poprzeczne cepy. Po wybuchu, gdy weszło się do kopalni to esta była całkowicie zasypana. Wtedy trzeba było tam wejść na czworakach i wyciągać z tego koryta węgiel, żeby móc uruchomić to urządzenie. Ale jeszcze zanim uruchomiło się to urządzenie trzeba było deptać cepy. Mówili dosłownie: "ty pojdiesz deptać cepy!" To znaczyło, że uruchamiając maszynę i trzeba było deptać. Cepy były po kostki w miale i w węglu, gdy już były na poziomie podłogi wtedy można było rzucać węgiel. Rzucało go się ręcznie, ale najpierw trzeba było dotrzeć do tzw. podeszwy. Podeszwa to był ten poziom, na którym leżał węgiel, i z którego można było później rzucać łopatą. Najpierw trzeba było tam wejść, zrobić miejsce ręką, później większe, żeby móc rzucać łopatą. Były zawały, gdy wzięli zbyt dużo węgla. Ja i mój kolega, niejaki Lewandowski znaleźliśmy się w zawale, zasypało nas z jednej i drugiej strony. Na szczęście wiedziałem, gdzie jest este i udało się poluzować bryły węgla, wyrzuciliśmy go jak najwięcej i później wzdłuż tej este, jak krety, wędrowaliśmy, aż wyszliśmy z zawałów.

Relacja p. Michała Gawrońskiego

nagrana przez p. Jarosława Krzyżanowskiego